

Przesłuchania

(1) Jedyne, czego pragnąłem, to spać, spać i jeszcze raz spać. Nie umiem fizycznie opanować dwóch rzeczy: przerwane go snu i pełnego pęcherza. Obie groziły mi jednocześnie, gdy przebudzony wśród nocy siadałem na twardym stołku naprzeciwko sędziego śledczego, zwróciwszy twarz prosto w kierunku żarówki o niesamowitej mocy.

(2) Pierwsza hipoteza oskarżenia opierała się na dwóch dowodach rzeczowych: wysokie buty z cholewami, w których młodsza siostra wyprawiła mnie po kłesce wrześnieowej w świat, miały świadczyć, że jestem majorem wojsk polskich, a pierwsza część nazwiska w brzmieniu rosyjskim (Gerling) kojarzyła mnie niespodzianie z pewnym marszałkiem lotnictwa niemieckiego. Logiczna konkluzja brzmiała: jest oficerem polskim na usługach wrogię go wywiadu niemieckiego. Jaskrawe niedokładności w obu przesłankach pozwoliły nam jednak stosunkowo szybko uporać się z tym ciężkim zarzutem. Pozostał bezsporny fakt – usiłowałem przekroczyć granicę państwową Związku Sowieckiego i Litwy. – Po cóż to, jeśli można wiedzieć? — Żeby się bić z Niemcami. – A czy wiadomo mi, że Związek Sowiecki zawarł pakt przyjaźni z Niemcami? – Tak, ale wiadomo mi również, że Związek Sowiecki nie wypowiedział wojny Anglii i Francji. – To nie ma znaczenia. – Jak brzmi ostatecznie akt oskarżenia? – *Zamierzał przekroczyć granicę sowiecko-litewską, aby prowadzić walkę ze Związkiem Sowieckim.* – Czy nie można by słów ze Związkiem Sowieckim zamienić na słowa z Niemcami? – Uderzenie otwartą dłonią na odlew otrzeźwiło mnie z miejsca. *To wychodzi na jedno* – pocieszył mnie sędzia śledczy, gdy podpisywałem przedłożony dokument. (...)

(3) Skatowany do utraty przytomności, bity na nowo po otrzeźwieniu wiadrę m zimnej wody, z oczami ledwie widzącymi przez szpary w plastrze zakrzepłej krwi i ustami obrzękłymi od poszarpanych dziąseł i chwiejących się zębów – Kostylew nie przyznawał się do winy z uporem, który rósł w miarę, jak potęgowały się zadawane mu cierpienia. Jakże skomplikowanym i nieobliczalnym mechanizmem jest organizm ludzki! To prawda, że istnieje w nim pewna określona granica wytrzymałości, ale przekroczywszy ją trzeba się liczyć tyleż samo z załamaniem, co z nieoczekiwanym buntem, który jest formą znieczulenia in extremis. Stan trwałę go otepienia, spowodowany przerwaniem pierwszej linii oporu fizycznego i zmiążdżeniem wszystkich gniazd, które wraz z bólem emitowały rozkaz poddania się, kończy się zazwyczaj zupełnym paraliżem woli i zwichnięciem kręgosłupa, równie teraz bezużytecznego, jak przetracony patyk w szmacianej kukle; ale bywa niekiedy i tak, że zdrętwiały od bicia organizm powtarza machinalnie ostatnie zapamiętane wysiłki broniącej się rozpaczliwie świadomości, niby odruchy warunkowe ciała pogrążone go już w agonii. Kostylew pamiętał tylko jedno: że cedził z zaciekłą determinacją przez zaciśnięte kurczowo zęby *Jestem niewinny, nie byłem nigdy szpiegiem.* Zemdlął – tym razem na długo – w chwili, gdy krzyknąwszy po raz ostatni nie poczuł, jak od konwulsyjnego skurczu szczęk ustępują nagle przednie zęby, i dusząc się wypluł je wraz z falą ciepłej krwi i wymiotów, która przedarła się przez zatkany przełyk i bluznęła na ścianę jak nafta z przewierconę go szybu. Poczul pewną ulgę i pogrążył się w ciemności. To go uratowało. Gdy ocknął się po paru dniach w szpitalu więziennym, był już umyty i zabandażowany.

(4) Na następnym przesłuchaniu sprawa szpiegostwa ustąpiła miejsca ogólnikowej rozmowie na temat poglądów politycznych Kostylewa. Było jasne, że NKWD nie chciało odesłać go w takim stanie do Szkoły Morskiej i postanowiło przestawić śledztwo na inny tor. Nie mogło być już mowy o uratowaniu zmasakrowanej twarzy młodego inżyniera sowieckiego, ale można było jeszcze uratować twarz potężnej instytucji, która od dwudziestu lat stała czujnie na straży Rewolucji. Teoria prawa sowieckiego opiera się na założeniu, że nie ma ludzi niewinnych. Sędzia śledczy więc, gdy dostaje w ręce oskarżone go, może ostatecznie po długich badaniach zrezygnować z postawionę go na wstępie zarzutu, ale to nie znaczy, żeby miał nie spróbować szczęścia gdzie indziej. Więźniowie śledczy znaleźli dla tego osobliwego proceduru świetne określenie: co ci *przyczepili?* pytają powracających z przesłuchania towarzyszy. W rezultacie wyrok skazujący jest zawsze czymś

w rodzaju kompromisu; oskarżony dowiaduje się, że nie przyszedł tu na darmo, a NKWD kultywuje bez przeszkód mit swojej własnej nieomyślności.

Praca w lesie

(5) Praca w lesie należała do najcięższych, głównie na skutek warunków, w jakich się odbywała. Odległość z „lesopowal” do obozu wynosiła średnio około sześciu kilometrów w jedną stronę, więźniowie pracowali dzień pod gołym niebem, po pas zanurzeni w śniegu, przemoczeni do nitki, głodni i niehumanitarnie zmęczeni. Nie spotkałem w obozie więźniów, którzy pracowali w lesie dłużej niż dwa lata. Na ogół już po roku odchodzili z nieuleczalną wadą serca do brygad zatrudnionych przy nieco lżejszej pracy, a stamtąd na śmiertelną „emeryturę” do „trupiarni”. Z nowych transportów więźniów, które co pewien czas przychodziły do Jercewa, wyławiano zawsze ludzi najmłodszych i najsilniejszych, aby ich – jak się to mówiło w obozie – „przepuścić przez las”. Ten pobór niewolników bywał czasem podobny nawet w szczegółach dekoracyjnych do rycin z książek o dawnym niewolnictwie: badanie lekarskie zaszczycał bowiem niekiedy swą obecnością naczelnik oddziału jercewskiego, Samsonow, i z uśmiechem zadowolenia dotykał bicepsów, ramion i pleców nowo przybyłych więźniów.

(6) Czas pracy wynosił zasadniczo we wszystkich brygadach jedenaste godzin, po wybuchu wojny rosyjsko – niemieckiej podwyższono go jednak do dwunastu godzin. W brygadzie tragarzy na bazie żywnościowej, w której pracowałem najdłużej, nie było nawet i tych ram – praca zależała od ilości wagonów, a wagonów nie wolno było przetrzymywać, bo za każdą nadliczbową godzinę obóz płacił dyrekcji kolejowej. W praktyce więc pracowaliśmy niejednokrotnie po dwadzieścia godzin na dobę z krótkimi przerwami na posiłki. Nie obowiązywał nas „podjom”, jeśli przychodziliśmy do zony po północy; wracaliśmy wówczas na bazę około jedenastej w południe, pracując znowu tyle, ile trzeba było, aby opróżnione wagony mogły wrócić na czas z naszej bocznicą kolejowej do Jercewa. W ten sposób już przez same „nadgodziny” nasza norma wahała się na ogół od 150 do 200%. Mimo to w naszej brygadzie „tufta” stosowana była bardzo często choćby dlatego, że większość tragarzy miała ambicję figurowania na „czerwonej tablicy” stachanowców, z którą związane było prawo kupowania co pewien czas kawałka kiełbasy końskiej w sklepiku obozowym. „Tufta” na bazie żywnościowej polegała na doliczaniu – za zgodą dziesiątnika, który podpisywał wykazy brygadowe – paru metrów do odległości od wagonu do składu.

Głód

(7) Głód, głód... Potworne uczucie, zamieniające się w końcu w abstrakcyjną ideę, w majaki senne, podsycane coraz słabiej gorączką istnienia. Ciało przypomina przegrzaną maszynę, pracującą na zwiększonych obrotach i zmniejszonym paliwie, zwłaszcza gdy w okresach przesilenia zwiotczałe ręce i nogi upodobniają się do starganych pasów transmisyjnych. Jaka jest granica jego działania, poza którą chyląca się do upadku godność ludzka odzyskuje na nowo swą zachwianą równowagę? Nie ma żadnej.

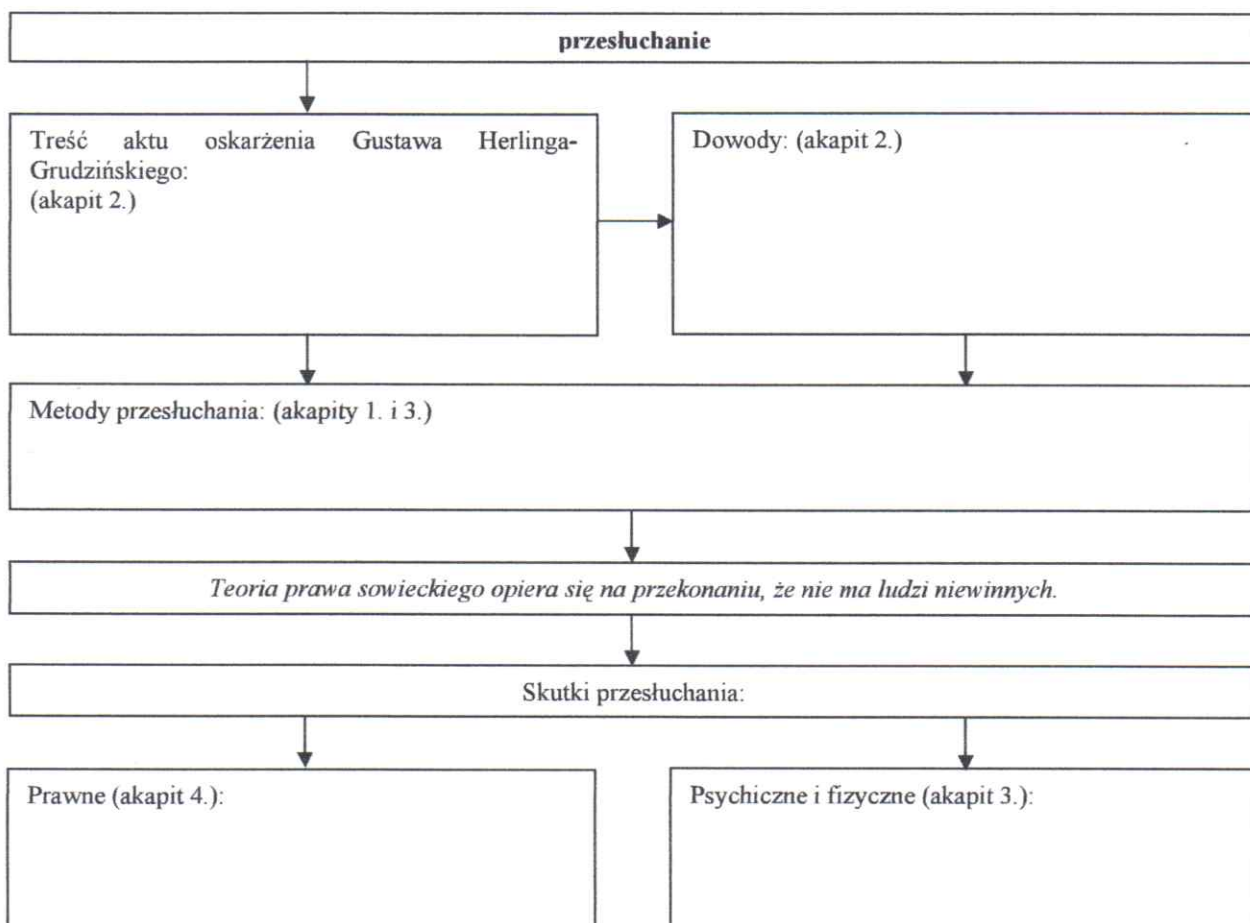
Anonimowa śmierć

(8) Nigdy się o tych sprawach głośno nie mówiło, ale nie było w baraku więźnia, który by z goryczą i niepokojem nie wspomniął chwili, gdy bez najmniejszego drgnienia i spod przymrużonych powiek śledził zwłoki wynoszone w nocy z baraku.

Śmierć w obozie była straszna także i przez swoją anonimowość. Nie wiedzieliśmy, gdzie się grzebie umarłych i czy po śmierci więźnia spisuje się najlapidarniejszy choćby akt zejścia. W czasie pobytu w szpitalu widziałem dwukrotnie przez okno przylegające do drutów ogrodzenia sanie, wywożące zwłoki za zonę. Wyjechały na drogę prowadzącą do tartaku, a potem skręciły nagle w lewo, na rzadko uczęszczaną ścieżkę, którą przed laty wydeptały pierwsze brygady „lesorubów”, i znikły na skraju horyzontu, oderwawszy się jak zdmuchnięta wiatrem płamka od białej płaszczyzny śniegu, by utonąć w bladoniebieskiej ścianie lasu. Tu kończył się zasięg mojego wzroku i tu również zamykała się dla nas wszystkich szczelnie granica pomiędzy życiem a śmiercią. Ten samotny i smutny kondukt pogrzebowy zdążył prawdopodobnie ku jakiejś

opuszczonej porębie leśnej, której położenia nie znał w obozie nikt prócz niemego woźnicy. Próbowaliśmy go nieraz wybadać, gdzie ukryto nasz więzienny cementarz, ale nieszczęsny Ukrainiec wzruszał tylko ramionami, kiwał smętnie głową i krztusząc się z wysiłku, dobywał ze ściśniętego gardła kilka niezrozumiałych dźwięków. Ci, co znali lepiej jego mowę, twierdzili, że ma na myśli leśniczówkę, zbudowaną parę lat temu w miejscu, gdzie kończyła się pierwsza droga obozowa. Nie wydawało nam się to jednak prawdopodobne choćby dlatego, że zimą żadna łopata nie ruszyłaby tam zamrożonej ziemi, a latem rozmokła polana pękała jak nagrany owoc kasztanu, wciągając coraz głębiej w bagniste czeluście zawalony domek, obnażone korzenie drzew i drewniany tor dla samochodów. Świadomość, że nikt nigdy nie dowie się o ich śmierci i o tym, gdzie ich pochowano, była dla więźniów jedną z największych tortur psychicznych. Można być człowiekiem niereligijnym, nie wierzyć w życie pozagrobowe, ale trudno pogodzić się z myślą, że raz na zawsze wymazany zostanie jedyny materialny ślad, który przedłuża istnienie ludzkie i nadaje mu wyrazistą trwałość w pamięci ludzkiej. Ta forma lęku przed śmiercią, lub raczej przed zupełnym unicestwieniem, przybierała z biegiem lat u niektórych więźniów charakter dręczącej obsesji. Powstawały ciche układy wielostronne, które w razie uratowania się jednego z uczestników nakładały nań obowiązek powiadomienia rodzin na wolności o dacie śmierci i przybliżonym miejscu pochowania reszty, na ścianach baraków pojawiały się wydrapane w tynku nazwiska więźniów, które pozostali przy życiu towarzysze mieli uzupełniać we właściwym czasie krzyżykami i datami, każdy więzień przestrzegał dokładnie regularnych odstępów w korespondencji z rodziną, aby nagła przerwa mogła dać przybliżone pojęcie o dniu śmierci. Wszystko to jednak nie było w stanie stłumić naszego niepokoju na myśl o tym, że obóz sowiecki pozbawił miliony swych ofiar jedyne przywileju, jaki dany jest każdej śmierci – jawności – i jedyne pragnienia, jakie odczuwa podświadomie każdy człowiek – przetrwania w pamięci innych.

I. Uzupełnij wykres.



2. Jak rozumiesz mit nieomyślności NKWD? (akapit 4.)

.....
.....
.....

3. Na czym polegała praca na tzw. lesopowale? Wyjaśnij na podstawie akapitu 5.i 6.

.....
.....
.....

4. Jak rozumiesz stwierdzenie, że selekcja do lesopowalu przypominała „ryciny z ksiązek o dawnym niewolnictwie”? (akapit 5.)

.....
.....
.....

5. Jaki był skutek pracy na lesopowale dla więźnia? (akapit 5.)

.....
.....
.....

6. Na podstawie akapitu 7. określ, czym był głód dla więźniów obozów sowieckich.

.....
.....
.....

7. Dlaczego największą torturę psychiczną dla więźniów stanowiła świadomość anonimowej śmierci? (akapit 8.)

.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....

8. Wyszukaj w tekście akapitu 8. słowo, które najlepiej wyraża lęk przed śmiercią.

.....
.....